

AGNIESZKA KORPAL

ROWEROWA KORONA GÓR POLSKI

Udało się. W 15 dni i 14 godzin przejechałam ok 1752 km i zaliczyłam wszystkie 28 szczytów Korony Gór Polski. Wylałam litry potu, ale nie żałuję ani kropelki, to była wspaniała przygoda.

Niedziela, 17 czerwca. Święta Katarzyna. Siedzę pod parasolem przy budce z pizzą i płaczę. Ryczę właściwie. „Co ja sobie myślałam planując to wszystko? Że dam radę? Że to takie proste?” Jestem na siebie wściekła, chcę wracać do domu. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę na co się porywam. Dwa tygodnie samotnej jazdy po górach, 28 szczytów, a ja mam tylko mały plecak, GPSa i kilka map. Uspokaja mnie telefon do Tomka, ale i tak jest mi cholernie smutno. Staram się nie myśleć o całej trasie, skupiam się tylko na jutrzejszym dniu, tak jest łatwiej. Następnego dnia wstaję z bojowym nastrojem i o 8.30 melduję się na Łysicy. Od tego momentu zaczyna się moja codzienna walka z czasem.

Trasa.

Zaplanowałam ją sama jeszcze przed wyprawą. Łącznie około 20 godzin wymyślania wariantów i optymalnych przejazdów. Część wgrałam do GPSa, a część zapisałam na kartce i realizowałam na bieżąco z normalną, papierową mapą. Przed wyjazdem szacowałam, że będzie to około 1300-1400km, po powrocie okazało się, że trasa liczyła ok. 1752 km. Nieśmiało planowałam, że jeśli wszystko się uda to powinnam się wyrobić w 16 dni. Nikt nie przejechał wcześniej tej trasy więc nie miałam nawet punktu odniesienia. 16 dni to mało, ale miało być trudno więc będzie. Co to za wyczyny, którego bym się nie bała albo nie miała wątpliwości, że mi się uda? Chciałam, żeby to był czas, z którym nie każdy będzie mógł się zmierzyć. Podróż zaczęłam w Świętej Katarzynie, skończyłam w Jakuszykach. Cały dystans przejechałam na rowerze, prowadziłam go albo niosłam na plecach. Spałam, tam gdzie akurat zastał mnie wieczór lub noc, w pensjonatach, schroniskach, pokojach gościnnych. Jadłam po drodze w restauracjach, zapasy uzupełniałam w małych sklepikach. Trzeciego dnia miałam wielką ochotę na pączka, a ponieważ normalnie ich nie jadam, zajęło mi dłuższą chwilę zastanawianie się czy na pewno mogę go zjeść. Szybko przeliczyłam, że skoro dziennie tracę ok. 8-10 tysięcy kalorii to ten jeden pączek na pewno mi nie zaszkodzi. Od tamtej pory jadłam wszystko na co miałam tylko ochotę.

W plecaku wiozłam mały śpiwór, dwie pary skarpet, koszulkę z krótkim i długim rękawem, kurtkę, małą kosmetyczkę, ręcznik, czołówkę, nożyk, ładowarkę do telefonu, ładowarkę do GPSa i mapy. Raczej skromny zestaw jak na dwa tygodnie podróży ale musiałam ograniczyć wagę, żeby nie dźwigać na plecach niepotrzebnego ciężaru.

Strach.

Ma wielkie oczy. 4 dzień wyprawy. W nogach mam już dobre 540 km. Podchodzę czerwonym szlakiem w kierunku Lackowej, najwyższego szczytu w Beskidzie Niskim. Słyszę jakieś grzmoty ale gdzieś daleko za mną, niechłujnie spoglądam na mapę i szacuję, że za godzinę powinnam już zjeżdżać do Tylicza więc na pewno burza mnie nie dopadnie. Ta godzina to w rzeczywistości 2,5 albo i 3. Zaczyna padać. Deszcz mi nie straszny więc idę dalej. Trochę martwią mnie coraz głośniejsze grzmoty.

Jestem już za daleko, żeby się wycofać, zresztą i tak nic by to nie dało. Przyspieszam i dalej kieruję się w stronę szczytu. Burza wisi już nad moją głową, grzmoty są przeraźliwie głośne, mam wrażenie, że pioruny walą obok mnie. Wyłączam telefon i GPSa. W pewnym momencie rzucam rower i biegnę w dół kilkanaście metrów od roweru. Boję się, że metalowa rama „ściągnie” piorun i walnie prosto we mnie! Siedzę sama na grani, w środku lasu, a burza tylko przybiera na sile. Nie wielu rzeczy się w życiu bałam, a teraz jestem totalnie przerażona. Widok powalonych dookoła drzew nie poprawia mi humoru. Nie wiem co mam robić, jedyne co mi przychodzi do głowy to myśl, że zginę w Beskidzie Niskim. W przerwach między piorunami chwytam rower i idę dalej. Ze szlaku zrobiła się mała rzeczka, wszystko płynie, podejście jest bardzo strome i co chwilę zsuwam się w dół. Gadam coś sama do siebie ale zupełnie bezsensu, chyba tylko po to, żeby zagłuszyć potworną ciszę przerywaną hukami grzmotów. Kilka minut przed szczytem pioruny się wyciszają i na szczyt docieram już trochę spokojniejsza. Całe szczęście, że nie było mnie tu chwilę wcześniej, widok powalonego przez piorun drzewa, tuż przy słupie z napisem „Lackowa 997 m. n.p.m.” doszczętnie szarga moje nerwy. Obiecuję, już nigdy tu nie przyjadę.

Samotność

Nie bałam się samotności. Tyle godzin przejeździłam w życiu sama na rowerze, że naturalny wydawał mi się brak towarzysza. Za tą pewnością siebie płacę jednak w trakcie wyprawy. Na szlakach spotykam zaskakująco mało ludzi, w całych Beskidach raptem kilka osób. Sama podejmuję wszystkie decyzje, nawigacyjne, logistyczne. Sama jem, śpię, piję piwo. W samotności się cieszę, podziwiam piękne widoki, przeklinam i marudzę. Codziennie rano i na trasie zgłębiam tajniki automotywacji.

Droga na Mogielicę, dzień 6. Jedzie mi się tak ciężko, że chyba szybciej bym biegła. Podjazd nie jest wymagający ale każdy obrót korbą to dla mnie wysiłek. Koniec. Schodzę w rower, siadam na środku ścieżki i siedzę. Nigdzie nie jadę, mam dosyć. Łzy cisną mi się do oczu, ale nie pozwalam sobie na płacz. Zagryzam jakiegoś batona i po kilku minutach słyszę swoje myśli: „Przecież sama tego chciałaś! Przestań się mazać, wstań i zrób co masz do zrobienia!” Już nawet pomarudzić sobie nie można. Siadam na rower i jadę dalej. Tego dnia zaliczam Mogielicę i Lubomir. Dzień 10, Zubrzyca Dolna. Budzik nastawiam na 6.45, tym razem 15 minut później niż zwykle, żeby się wyspać. Przebudzam się o 8 i jedynie o czym marzę to leżeć i nie otwierać oczu. Wyobrażam sobie jak wracam do domu i śpię. Najwspanialsze marzenie jakie mogłam wymyślić. Do tego to łóżko jest tak wygodne, a to leżenie jest tak kojące, że nie potrafię wstać. Może i bym chciała ale nie potrafię. Po kilkudziesięciu minutach rusza mnie sumienie i wymyślam argumenty dla których powinnam wstać. Muszą być przekonujące bo po 20 minutach jestem gotowa żeby wyruszyć w trasę.

Najwyższy szczyt.

Rysy. Na początku wyprawy liczyłam, że uda mi się wnieść na szczyt cały rower, złożony i przytroczony do plecaka. Dzień przed wejściem zmieniłam plan. Byłam zmęczona, pogoda miała być niepewna, zapowiadało się, że będę wchodzić sama i nie bardzo wiedziałam jak sobie z tym poradzę. Postanowiłam, że cały rower wezmę do końca szlaku nad Czarnym Stawem, a później zadecyduję co dalej.

8 dzień wyprawy, media dowiadują się, że wchodzi na najwyższy szczyt polskich gór z rowerem. Nie bardzo wiedzą skąd się wzięłam i gdzie dalej jadę, liczy się tylko to, że „wjeżdżam na Rysy na rowerze” i jestem kobietą. Chowam się przed tym wszystkim w Schronisku nad Morskim Okiem, gdzie poznaję Vitalija, najsympatyczniejszego i jedyne go Łotysza jakiego w życiu poznałam. Po długiej

rozmowie Vitalij proponuje, że pójdzie ze mną na Rysy, mimo że dziś rano był na szczycie. Za oknem leje deszcz więc nie ma szans żeby jeszcze dzisiaj wyjść w góry. Denerwuję się, czuję, że tracę cenne godziny. Ruszamy następnego dnia wcześniej rano. Tak jak myślałam, dźwiganie rozłożonego roweru na plecach nie należy do przyjemności. Nad Czarnym Stawem decyduję, że na górę wnoszę tylko dwa koła. Tak, symbolicznie. Vitalij protestuje, bierze ramę i zaczyna podchodzić. Próbuje go namówić żeby ją zostawił, ale bezskutecznie. Na początku jestem zła, „to moja wyprawa i ja powinnam zdecydować” jednak widok Łotysza maszerującego dzielnie z ramą na ramieniu i dobijająco szczerym uśmiechem nie pozwala mi się złościć. Na szczycie robimy kilka zdjęć, przybijamy piątkę i schodzimy. Ludzie, których spotykamy podczas zejścia życzą mi powodzenia, uśmiechają się, niektórzy patrzą z niedowierzaniem. W schronisku składam rower, pakuję plecak, żegnam się z Vitalijem oraz resztą dopingujących mnie współlokatorów i ruszam dalej. Zostawiam za plecami szum, który rozpętał się wokół wyprawy. Znow jestem sama i tym razem bardzo mi to odpowiada.

Sudety

Myśl o tym, że jadę do Kotliny Kłodzkiej dawała mi wiele radości. Nie dość, że tereny dobrze mi znane to jeszcze Tomek miał tam do mnie dołączyć . 12 dzień. Większość kilometrów mam już za sobą, ale została jeszcze połowa szczytów i tylko 4 dni. Znow staram się nie myśleć o całości, tylko o najbliższej górze. Przejadę ile się da, a później zobaczymy. Tak bardzo skupiam się na małych celach, że 13-stego dnia wjeżdżam z Tomkiem na Rudawiec i Śnieżnik. Cieszę się jak dziecko, że nie jestem sama, a do tego z ukochaną osobą. Tego samego dnia zaliczam jeszcze Jogodną i Orlicę. Jestem zmęczona ale szczęśliwa, czuję, że odwaliłam kawał roboty. Niestety kolejny dzień jest chyba najgorszym dniem całej wyprawy. Docieram do Karłowa, wnoszę rower na Szczeliniec i kieruję się w stronę Kłodzkiej Góry. Żar leje się z nieba, a ja przeklinam wszystkie świętości. Jestem tak wyczerpana, że na podejściach prowadzę rower. Na Kłodzką Górę też już nie wrócę. Podjazd na Ślężę to właściwie jedna wielka rozpacz. Okazuje się, że był to najcieplejszy dzień w tej okolicy od kilku lat, przejechałam 130 km i zdążyłam zameldować się na trzech szczytach. Dużo mnie to kosztowało.

Ostatnie 16 godzin.

Wojcieszów, 16 dzień wyprawy. W nocy rozpętała się taka burza, że nie mogę spać.. a tak bardzo potrzebuję odpoczynku! Wstaję z myślą, że to już ostatni dzień. Ciszę się strasznie ale nie umiem tego okazać. Siadam na fotelu i próbuję zebrać myśli, a przede wszystkim siły. Wiem, że muszę to zrobić, wsiąść na rower, wjechać na 4 szczyty i przejechać ostatnie 120 kilometrów. Zaciskam zęby i próbuję nie płakać. Nie wychodzi mi, pochlipuję sobie dyskretnie, żeby Tomek nie widział. Zrobię to i będę mogła spać do woli! O 8.45 jestem już na Skopcu, a dwie godziny później na Skalniku. Zostały tylko Śnieżka i Wysoka Kopa. Z przełęczy Okraj kieruję się czeską stroną na grań Śnieżki. Znow dopada mnie burza, chowam się w kosodrzewinie (nie wiem po co) i zastanawiam się co robić. Nagle na szlak wybiega Tomek, spada z nieba właściwie, bo w ogóle się go tu nie spodziewałam. Z nim czuję się bezpiecznie i razem podchodzimy na szczyt. Podczas zejścia zaczyna mocno padać. Decyduję się na złamanie przepisów i zjazd do Świątyni Wang. Próbuję złożyć mapę z tego co z niej zostało, udało mi się dopasować dwa najważniejsze kawałki i z uwagą uczę się drogi na pamięć. Trasa do Przesieki jest całkiem przyjemna, i tak jestem cała mokra więc jedno błoto w tą czy w tamtą nie robi mi już różnicy. Telefon też zdążył zamoknąć więc nie mogę dodzwonić się do Tomka. Wiem tylko, że czeka na mnie w Jakuszycach z Kornelem Jaskułą i Arkiem Jaskułą, kolegami z teamu mod-x.org, którzy postanowili towarzyszyć mi w drodze na ostatni szczyt.

Najpiękniejszy moment.

To zjazd drogą pod reglami do Szklarskiej Poręby. Już tu wiem, że się uda. Że właśnie spełniam swoje marzenie. Ściska mnie znów za gardło i chce mi się płakać, tym razem ze wzruszenia. Jadę więc w tym deszczu cała mokra, obrzydliwie brudna i szczęśliwa do Jakuszyca. Spotykam chłopaków, ich doping daje mi bardzo dużo siły. Podjeżdżamy całkiem blisko szczytu. Robi się ciemno, zapalamy czołówki, podprowadzamy rowery kilkadziesiąt metrów i ... docieram na ostatni szczyt. Jest godzina 22.05 wokół mgła i deszcz. Inaczej wyobrażałam sobie tą euforię na mecie. Jestem taka szczęśliwa, że nawet nie wiem co powiedzieć, nie potrafię pozbierać myśli, tylko usta same mi się śmieją. Zrobiłam co miałam do zrobienia i już nic nie muszę. Teraz będę mogła spać ile zapragnę, przestaną boleć mnie plecy i.. zmienię w końcu garderobę ;).

Kontrowersje

Dotyczą głównie nielegalnego poruszania się po Parkach Narodowych na rowerze. Przed wyjazdem starałam się o pozwolenia na jednorazowe wjazdy na szlaki, nie uzyskałam ani jednego. Mimo to postanowiłam, że zrealizuję wyprawę, a tam gdzie nie będę mogła jeździć poprowadzę rower lub wniosę na plecach. Żaden przepis nie zakazuje noszenia roweru na szlaku. Chęć realizacji tego marzenia była tak silna, że nie mogłam postąpić inaczej. Taką podjęłam decyzję w pełni świadoma ryzyka otrzymania mandatu lub innych konsekwencji. Na szczęście mamy wolną Polskę, każdy może decydować sam za siebie i mieć własne, czasem dziwne pomysły. Od kilka lat startuję w rajdach przygodowych. W słowniku ludzi startujących w tych zawodach nie istnieją słowa „nie da się, nie można, nie dam rady”. I właśnie z takiego założenia wyszłam planując wyprawę. Nauczyłam się, że aby podjąć wyzwanie wystarczy odpowiednia motywacja, samozaparcie i zgoda na wszelkie niewygody. Wierzę, że realizacja tego pomysłu nikogo nie uraziła, a wielu ludziom dała dodatkową motywację do realizacji marzeń, nawet jeśli pozornie wydają nie nierealne.